

ZESZYT XVI Cena zeszytu Mk. 20.— WRZESIEŃ 1920 R.



ROK IX. WARSZAWA, DNIA 15 WRZEŚNIA 1920 ROKU. ZESZYT XVI.

PLACÓWKA
Ilustracja Polska
DWUTYGODNIK

Ignacy Grabowski.

CO DALEJ?

Hordy bolszewickie z Polski wypchnięte. Najazd spotkał się z patrjotyzmem czynnym narodu. Rozbite, znękane długim odwrotem wojska nasze, wzmocnione duchem armji ochotniczej, odniosły zupełne zwycięstwo nad straszliwym wrogiem.

Wiekopomne dni sierpniowe roku 1920 oświetliły jak gdyby błyskawicą śród ciemności burzy następujące fakty.

Pierwsze. Na czoło obrony orężnej, aktu poświęcenia, wysunęły się żywioły miejscowe i inteligencja wiejska, słowem warstwy z tradycją historyczną, oraz młodzież zrzeszona w harcerstwo. Chłopi, posiadacze ziemi, wogóle zajęli postawę bierną, wyczekującą. Dopiero gdy żydowsko-mongolskie hordy wzięły się do rabunku koni, krów i mienia, pojęli rzecz i poczęli występować czynnie. Służba folwarczna tu i owdzie przyjęła hordy radośnie, nawet z bramami trjumfalnemi. Ochłodła, gdy nic nie dostała, prócz razów i proklamacyj moskiewsko-żydowskich. Stąd wniosek, że chłopi nasi muszą przejść lat pięćdziesiąt dobrej szkoły narodowej zanim z dobrym skutkiem mogą wziąć udział w rządach krajem.

Wtóre. Odparcie hord nastąpiło przy udziale wojskowego mózgu francuskiego. Nie mamy się czego wstydzić obecnej przewagi wiedzy wojennej francuzów my, którzy, po tylu latach bezwładności, wojsko nasze dopiero improwizować musimy. Przysłanie na czas kryzysu znakomitego jenerała Weyganda z jego znakomitym sztabem oficerów-specjalistów dowodzi, że Francja pojmuje własny interes polityczny zupełnie solidarnie z polskim. Nie znaleźliśmy w dniach przełomu w Europie żadnych innych sprzymierzeńców prócz Francji. Na Włochów, jak zawsze zresztą, nikt nigdy nie może liczyć, Anglja uważa politykę światową za swój bezwzględny teren wyzysku, a czy to jest mądra polityka, bliska przyszłość okaże. W dni sierpniowe, acz członek Ententy, Anglja wystąpiła przeciwko nam jako wróg. Tylko w potrzebie poznaje się prawdziwe sprężyny działań ludzkich i zbiorowych. Człowiek myślący wyciąga z nich wnioski stanowcze i na przyszłość obowiązujące do konsekwencji.

Trzecie. Dni sierpniowe wykazały aż nadto niezbicie, że żydzi zamieszkali w Polsce nietylko nie są biernymi współlokatorami polskości, ale jej zdecydowanymi wrogami. Znaczna część inteligencji naszej, jedni z wygody osobistej, inni z nawyknień, inni z tępoty umysłowej, inni z pokrewieństw, inni wreszcie jako opłacani najmici pielęgnowali sielankę o Janklach Cymbalistach, o Meirach Ezofowiczach, o Berkach Joselowiczach i nawet narzucali ją ludowi. Powstała rzekoma odmiana: „Polacy wyznania mojżeszowego", już nie jako wyjątek, jako kruk igraszką natury zabarwiony na biało, co jest zawsze nie tylko możliwe, ale nawet musowe, ale jako patrjotyczna warstwa polska rasy semickiej. Wprawdzie już cały Enkaen galicyjski i cały socjalizm polski już od pieluch roił się od żydów, wprawdzie w Warszawie, gdy żelazne pikelhauby Wilhelma obejmowały Wisłę w posiadanie, domniemalnie in saccula saculorum, gromady żydówek w białych sukniach rzucały róże żołdakom niemieckim, ale dziecinnie naiwny ogół polski jeszcze rzeczywistości nie dostrzegł, bezwzględnie, niemylnie. Może myślał dobrodusznie: nie podobna aby żydzi byli tak fanatycznie ślepi i sami psuli sobie swój raj w Polsce. Dopiero teraz w dni sierpniowe, gdy w miastach i miasteczkach, w godzinę po przyjściu hord bolszewickich, odrazu do dyspozycji „komisarów"stawały gotowe oddziały uzbrojonych żydziaków, fanatyczne zastępy „rzezaków" ludzkości, okazało się dowodem niezbitym, że żydzi mieszkający w Polsce byli zorganizowani w spi

sek zbrojny ku obaleniu państwa i zniszczeniu narodu polskiego. Prysły złudzenia tak ulubione przez ludzi biernych, pragnących wegetować zwinnie, w strusiem ukryciu głowy w piasku... Walka stała się koniecznością; już nie chodzi o ideały, ale o byt.

Oto trzy główne obrazy, jakie oświetliła błyskawica sierpniowa. Ale burza dalej trwa. Cóż dalej? Czy naród skorzysta z światła błyskawicy?

Powiedziano, że w Polsce bohaterstwa rosną jak grzyby po deszczu, ale czyn wytrwały usycha przy korzeniu. Czy światło to wystarczy, aby zwrócić naród z drogi samobójstwa, jaką idzie od lat dwóch?

W tem zagadnienie zasadnicze niepodległości politycznej. Gdy czytamy opowieści o Indjanach amerykańskich, o różnych plemionach już dzisiaj nie istniejących, uderzają nas wybitne i liczne przykłady stoickiego niemal bohaterstwa i poświęcenia. Jednakże te plemiona w nędzy dogorywają lub znikły z ziemi. Bo społeczeństwa cywilizowane stworzyć i utrzymać zdolna jedynie wola rozumna, skoncentrowana i świadoma celów.

Zanim pomyślnym wypadkiem dziejowym złączone dzielnice Polski mogły się były wewnętrznie, co do ustroju wspólnego, porozumieć, śród nieopisanego chaosu początkowego, zrozumiałego zresztą w takiem położeniu, narzucił się narodowi rząd socjalistów-żydów i wyrostków, wtrąconych w awanturnictwo. Nie było nic łatwiejszego jak pochwycić ciemne masy chłopów, zarzucając na nie wędkę w postaci rozdziału ziemi. I oto rozpoczęła się orgja samozniszczenia tego, co pozostawiło jeszcze łupiestwo Niemców, Austrjaków i Moskalów.

Wytwórczość, praca społeczna t. j. podwalina wczesnej cywilizowanej zbiorowości, dzień za dniem, jakgdyby w myśl konsekwentnie przeprowadzonego planu zniszczenia, malała. Strajk następował za strajkiem, lekkomyślne i coraz zuchwalsze próżniactwo zapuszczało korzenie coraz głębiej i szerzej, coraz liczniejsze rzesze żyły na koszt skarbu, okradanego bez zastanowienia i miary, a wszystko to razem nazywało się „rozbudowywaniem" Polski. Myśli i programy wzniosłe i użyteczne, jak owe zdrowe i smaczne potrawy Odysseusza, zanieczyszczone dotknięciem się Stymfalid, obrzydliwych śmierdzących ptaków, stawały się frazesem, maskującym złodziejstwo, lenistwo i nieuctwo.

Aż nadeszła groza, burza z błyskawicami, bolszewicy. Na co nie zdobyła się wolna twórczość, zrobił wysiłek strachu. Stał się „cud nad Wisłą". Porównywują go z „cudem nad Marną". Nie czuję, aby były to czyny współwierne. Francuzi mieli naprzeciw sobie przewagę żelaznej organizacji, straszliwy wysiłek celowy mózgów niemieckich. Myśmy mieli przeciwko sobie obdarte, zdemoralizowane bandy grabieżców, żgane jedynie żądzą łupu i odpoczynku. Lada organizacja wojskowa mogła była te bandy odpędzić, aby organizacja była. Jeżeliby zaś jej nie było, to prawda: rzeczywiście byłby cud.

Napewno zaś było to ostrzeżenie Boga, dziejowych wyroków. Ockijcie się! póki czas. Wolność wasza jest na łasce dziejowych wiatrów. Czemu wicher słabszy nie podołał, silniejszy może przewrócić.

Dopóki w Polsce nie ruszy praca wytwórcza, istniejemy tylko na papierze kongresów i w własnej imaginacji. Nasz pieniądz, wskaźnik pracy, jest w stosunkach światowych sumiennie obezwartościowany. Z pracy nie da się odgrywać komedji. Nie zastąpią jej, nie urodzą chleba powszedniego żadne hasła i frazesy. Europa Zachodnia po wielkiem wstrząśnieniu już pracuje twórczo. Spogląda na ten zidjociały od socjalizmu - bolszewizmu kwiat wschodni jak na Hunnów lub Apaszów i inaczej patrzeć nie może. Fakty są zbyt wymowne.





Łukasiński — męczennik za sprawę polską. *Rys. A. Dzierzbicki.*



Gustaw Olechowski.

POGOTOWIE NARODOWE.

Życie silniejsze jest od teorji, należy tylko umieć chwytać je w toku wypadków. Niebezpieczne jest może w pewnych wypadkach zbyt pohopne uogólnianie zjawisk, ale konieczne badanie podłoża ich, bo wówczas plastycznie uwypukla się istota tych zjawisk.

Nowe istnienie państwa polskiego zaczęło się od ogniowej próby, z której wyjdzie Rzeczpospolita silną, wielką, jak szlachetny kruszec, ale z przebiegu tej ogniowej próby należy korzystać w najszerszej mierze dla zrozumienia przedewszystkiem ducha polskiego, który najłatwiej i najjaśniej przejawia się właśnie w chwilach przełomowych, trudnych i nieszczęśliwych, a potem należy zwrócić baczną uwagę na spontaniczne ruchy społeczne, bo te są najcharakterystyczniejsze i są miarodajne dla tego, kto chce lub ma i musi wypracowywać program życia polskiego w jakiejśkolwiek dziedzinie.

Ogniowa próba dotyczy przedewszystkiem naszej obrony krajowej, naszej armji i nie tylko jej, ale całego systemu militarnego w Polsce.

Przyjrzyjmy się faktom, bo one przedewszystkiem i zawsze głos mieć muszą.

Przypomnijmy więc sobie sumarycznie i pokrótce historję naszych państwowych dwuch lat, historję powstawania i rozwoju naszych sił zbrojnych, jak mianowicie naród się militaryzował.

A więc legjony Piłsudskiego, próba czysto polskich formacji wojskowych na froncie wschodnim, organizowanie się korpusu pierwszego, drugiego i trzeciego na wschodzie, armja Hallera we Francji, wszystko ochotnicze, rzecz prosta, bo nie było jeszcze państwa. Obrona Lwowa przez ochotników, nawet cywilnych, przez ludność. Formacje dobrowolne zlewają się stopniowo w jednolitą armję polską. Przychodzą pobory regularne. Wątłość sił państwowych i nie dość jeszcze silny prestige rządu sprawia, że pobory stosowane są wolno, stopniowo i nie dość żelazną ręką. Przychodzi dzień wielkiego niebezpieczeństwa, naród staje cały pod broń, tworzy się armja ochotnicza, przychodzą znów pobory na wyraźne żądanie całego narodu, zjawia się na widowni siła nowa— pomoc ze strony skautyzmu, organizacji sportowych i wreszcie — straż obywatelska.

Bieg ten wypadków jest dostatecznym materjałem dla zorjentowania się w kierunku, jaki ma przybrać plan wielkiej pracy stworzenia pogotowia narodowego, wielkiej pracy wychowawczej, któraby zmierzała do zmilitaryzowania narodu.

Przed wojną Europejską militaryzacją nazywało się zaabsorbowanie największych i najlepszych sił narodu na rzecz wojska dla celów agresyjnych.

Dziś militaryzacją będziemy nazywali coś zgoła odmiennego.

Jeżeli nie na zawsze, to na długi przeciąg czasu narodom Europy odechce się wojen agresyjnych. Nie tyle może z braku chęci ile z wyczerpania i niemożności. Stosunki jednak polityczne Europy nie są i nie prędko będą uregulowane. Wybuchu konfliktów zbrojnych należy zawsze się spodziewać. Stąd przyjdzie konieczność stałego pogotowia obronnego.

Jak je zorganizować, rzecz to polskiego jeneralnego Sztabu. On to opracuje plany obronne, on wytknie punkty, które mają stanowić bazy operacyjne, on stworzy kadry wojsk, szkoły, korpus oficerski.

Nas tu zajmuje pytanie, jak oprzeć takie pogotowie na siłach narodu, jak je wyzyskać przy najmniejszych kosztach, przy najkrótszej służbie wojskowej, przy najmniejszem odrywaniu obywateli od jego pracy.

Rozwój i pożytek harcerstwa, wielki zapał patrjotyczny i wojskowy, jaki wykazała młodzież szkolna i uniwersytecka, wskazuje wyraźnie, że naukę wojskowości należy wnieść do wszystkich szkół i uniwersytetów, jako przedmioty obowiązujące i kapitalnie wpływające na stan fizyczny narodu. To pierwszy punkt programu.

Gotowość jaką wykazały zrzeszenia i kluby sportowe — wskazuje, że organizacje te uznać należy za rozsadniki użyteczności militarnej i że propagować je trzeba ad infinitum, zastosowując w zapasach sportowych ćwiczenia wojskowe, lub zmierzające do praktycznych celów wojskowych. To punkt drugi.

Wreszcie należałoby rozszerzyć ramy i ustalić istnienie straży obywatelskiej, a to w celu wytworzenia zastępczego organu obrony państwa, gdy cały zapas ludzi wieku poborowego byłby użyty czynnie. Należałoby więc ustalić,

że do Straży Obywatelskiej należą obowiązkowo wszyscy obywatele od 45 do 50-go roku życia jak również i młodsi, niezdolni do służby frontowej.

Wprowadzając w ten sposób obowiązkową służbę wojskową, wyczerpiemy cały zapas mężczyzn, a w ten sposób usuniemy takie anomalje, jak oddziały kobiet, które dość będą miały do spełnienia w kancelarjach i na tyłach, w krzyżach Białym i Czerwonym, wreszcie w propagandzie i w warsztatach krawieckich dla żołnierza.

Oddziały ochotnicze kobiet nazwałem anomalją, bo to wyraz najłagodniejszy dla określenia tego zjawiska, jako stałego.

Zgadzam się na to że chwilowo, gdy stan moralny naszego frontu był zachwiany, kobiety musiały stanąć pod broń dla wywołania rumieńca wstydu na twarzy tych, co dezerterowali, lub tej młodzieży, która się karabinu bała. Ale jeżeli taki policzek był chwilowo potrzebny, nie mniej przeto pozostanie on plamą na honorze całego męskiego narodu w Polsce i do tego na przyszłość dopuszczać nie wolno.

Na przyszłość już należałoby skończyć z systemem wojsk ochotniczych, gdyż system ten w państwach zorganizowanych nie wytrzymuje najlżejszej krytyki a powoduje tak bolesne zjawiska, jak mdlejącą pod ciężarem tornistra kobietę, jako ofiarę wysubtelnionych uczuć patrjotycznych.

Wartość żołnierza polega na wyćwiczeniu a nie na jego pochodzeniu — przymusowem czy dobrowolnem.

Anglja dobrze robiła przed wojną, rekrutując swoją nieliczną armję z ochotników. Ale Polska zrobiłaby bardzo źle, naśladując w przyszłości Anglję, a to dla następującego powodu.

Angielskie wojsko było ochotnicze, ale właściwie najemne, dokąd szły elementy awanturnicze, wykolejeńcy bezrobotni i inna hołotka, przeznaczona przez Anglję na to by zginęła w kolonjach, ulgę czyniąc społeczeństwu z korzyścią dla jego celów politycznych. Ale w Polsce na ochotnika idą i szli zawsze ideowcy, elita narodu.

Kilkanaście takich eksperymentów, niestety w przeszłości koniecznych, kilkanaście naszych zbrojnych ruchów od konfederatów Barskich przez powstanie Kościuszki, legjony Dąbrowskiego, rok 31-y 46—48, rok 63, 1905 i teraz— pochłaniało i gubiło w każdem pokoleniu elitę młodzieży i mężów, elitę moralną i intelektualną.

To półtora wieku ochotniczych zaciągów sprawiło, że jesteśmy wobec Zachodu kulturalnymi nędzarzami, a gatunkowo caraz słabszymi.

Jeżelibyśmy w dalszym ciągu mieli bronić Polski ochotnikami i pozwalać wycinać w pień wszystko co mamy w kraju najlepszego, pozostawiając na rozpłodowców nędzne, chore, tchórzliwe bolszewickie i żydowskie kreatury, to za sto lat staniemy się masą ciemnych pariasów.

Tego systemu na przyszłość nie należy się trzymać, bo inaczej narodowi grozi katastrofa kulturalna, cywilizacyjna, rasowa.

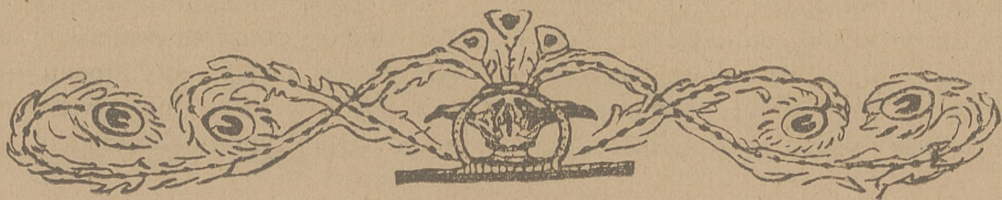
Jest powszechne głosowanie, musi być powszechny podatek krwi, kto ma przywilej i prawo do wybrania go do sejmu, niech ma również przywilej umierania na polu bitwy.

Nie można też stworzyć poważnego pogotowia obronnego narodu, jeżeli w dalszym ciągu armję pozostawi się na łasce Towarzystw Dobroczynności.

Zbieranie po domach skarpetek ciepłych dla żołnierzy a na ulicy kwestowanie papierosów dla nich jest skandalem. Nie należy żebrać dla żołnierzy, lecz rekwirować!

Jeżeli naród nasz jest nie upadły i nie zbabiały w najgorszem znaczeniu tego wyrazu— to opinja społeczna zażąda od rządu, by obłożył naród 10-krotnie takimi podatkami a sprowadził choćby z końca świata dla każdego żołco mu jest potrzebne. Żołnierz bosy, głodny bez ciepłej bielizny jest krzykiem do nieba o pomstę na cały naród. Widzę magazyny przepełnione ciepłemi trykotami, obuwiem, papierosami. Czemu to wszystko nie jest ekspedjowane na front? Na co to potrzebne w miastach cywilom?

W kraju są miljardy na kupienie tego wszystkiego—trzeba tylko te miljardy wyciągnąć z kieszeni płatnika podatków.



Victor Laprade.

Hymn do Polski.

Nie nadszedł jeszcze dzień wyzwolin? Na twem niebie
Przedświty nowej ery jeszcze się nie złocą?
Bohaterstwo powszednim chlebem jest u Ciebie
O Polsko! Zmusisz nieba, by Ci szły z pomocą!

Wrogowie Twoi pewni byli Twej zagłady,
Widząc naród cały, modlący się w żałobie,
I synów Twoich śmierć, bez obnażenia szpady,
I księży, pogrążonych w modłach na ich grobie.

A świat, co w sobie ducha zabił i nie wierzy,
By zbawić mogła Boga piorunowa ręka,
Powtarza: naród, który modli się i klęka
Ma jeszcze męczenników — nie ma już żołnierzy!

Dziś—spójrzcie! Czy do walki krwawej nie gotowy
Ów lud, co wczoraj jeszcze przed świątyni progiem
Śpiewał hymny żałobne i obnażał głowy
I w grzeszną pierś się bijąc—kajał się przed Bogiem?

Zwyciężysz! O, zwyciężysz ich na polu bitwy
I nie jeden ciemiężny jeszcze tron obalisz,
Ale walcząc zachowaj świętą broń modlitwy,
Ocalisz imię swoje — gdy wiarę ocalisz. —

Znieś jarzmo Chrystusowe, choć dumę poniża!
A gdy synowie Twoi idą w bój z odwagą,
Twym starym wodzom pozwól, aby szablą nagą
Na czele swoich hufców czynili znak krzyża.

Módl się, Polsko, o módl się! Choć ku Twej czeluści
Prócz Boga nikt nie zejdzie, by Ci być obroną!
Na krwawych Twoich polach ludzkość Cię opuści,
Samotną ze swym mieczem i wiarą natchnioną.

O chwała wam, szaleńcy, w walce przeciw mnóstwu!
I chwała narodowi, co szedł w bój piekielny
Tradycjom swoim wierny i swojemu Bóstwu!
Kto o lęku wspominał? — Lud ten — nieśmiertelny!

Piastuje w głębi łona ducha odrodzenia,
A przyszłość ten zdobywa, który w jutro wierzy;
Własnemi dłońmi niecąc płomień wyzwolenia
Utwierdził prawa swoje na mogile świeżej!

Zbyt pięknie umiesz ginąć, z dumą znosić plagi,
O ludu, będziesz wolny! Próżno wróg Cię smaga,
A niecna Europa w imię równowagi
Trzy sępy krwi Twej chciwe wspiera i wspomaga.

Żyw będziesz, boś na własne tylko liczył siły,
Bo było Ci ostoją tylko własne serce,
Bo mężne Twoje hufce dawny chrzest uczciły,
Wyznając Boga jawnie, choć Go lżą bluźnierce.

Żyć będziesz swoją wiarą, Matko boleściwa!
Synowie Twoi padli lecz nie pokonani.
A chociaż żaden Gal na pomoc nie przybywa —
Serca swoje złożyli wszyscy Tobie w dani.

Powstaje w imię Twoje niewidzialna liga!
Śpiewajmy, Muzo moja! Jeszcze i tym razem
W proch legnie ramię gwałtu, który prawdę ściga
I duch zwycięstwo święcić będzie nad żelazem.

Wam za to, męczennicy, chwała się należy!
A nam — kupiecką kredkę dajcie czcić z nałogu.
Walcz, ludu bohaterów! Chwila Twa uderzy,
Bądź wierny Twemu prawu, jak Twojemu Bogu.

Przekład: HENRYKA ZOBORA.

Radosław Krajewski.

CZŁOWIEKOWŁADZTWO (Homokratyzm).

I. Przeobrażenia ustrojów społecznych jako walka z „przyrodą".

Człowiek opanował glob ziemski, „przyrodę", dzięki rozwojowi cech człowieczych, któremi w najogólniejszem pojęciu jest twórczość i etyka, jako podstawa współtwórczości.

Zależnie od stopnia, w jakim w rzeszach ludzkich występuje pragnienie czynienia zdobyczy na „przyrodzie", rzesze przyjmują ten lub inny ustrój społeczny.

Po okresie szukania nowych dróg, po okresie ideologji zazwyczaj następuje okres idei demokratycznej i upadek beztwórczej zachowawczości.

Po okresie idei demokratycznej — demagogja, gminowładztwo, stadowładztwo komunistyczne.

Następstwem komunizmu, pojętego nie jako mistycyzm, lecz jako ustrój życia powszedniego, jest anarchizm, następstwem anarchizmu bezwzględny, oparty na terrorze absolutyzm, który znów zostaje zburzony przez ideologję, wystrzelającą z cech człowieczych, czyli demokrację.

Okresy formowania się ideologji demokratycznej i władztwa jej idei są okresami najbar-

dziej wzmożonej walki z „przyrodą", dającemi ludzkości za pomocą odkryć, wynalazków, organizacji największe zdobycze.

2. Demokratyzm i jego przeczenia.

Ale demokratyzm, czyli zasady owego ustroju społecznego, wynikającego z idei demokratycznej, to nie władza tych lub innych partyj społecznych, posiadających na swym czółnie napis: demokratyzm. Demokratyzmem nazywamy takie zasady ustroju, jakie konsekwentnie, bezpośrednio wynikają z etyki i twórczości.

Pojęcie etyki, jako czynnika organizującego społeczeństwo i pobudzającego je do swobodnego rozwoju, mieści w sobie pojęcie ładu, istotnej tolerancji, humanitarności, rozumnego altruizmu, praworządności, a nadewszystko potężnej władzy ducha, podobnie, jak pojęcie twórczości — nieustannej, budującej rewolucji, czyli ewolucji, postępu, niezatrzymywania się na martwym punkcie.

To też każdy ustrój społeczny, który nie wynika z zasad etyki i twórczości, nie jest demokratycznym.

Przeciwstawia się idei etyki i twórczości absolutyzm, gdzie jednostka często beztwórcza tamuje rozwój jednostek twórczych i wolnych obywateli czyni niewolnikami.

Przeciwstawia się — komunizm, gdzie władzę dzierży większość beztwórcza, gdzie samoluby żyją kosztem altruistów.

Przeciwstawia się anarchizm, jako bezrząd rozbijający wszelką szerszą twórczość, współtwórczość.

I stąd też zasadniczemi, przeczącemi idei demokratycznej przejawami we spółczesnym demokratyzmie są:

1) przecząca etyce demagogja, szerzona przez karjerowiczów, śród warstw mniej oświeconych, biedniejszych, polegająca na schlebianiu najniższym, nieczłowieczym instynktom najczęściej w celu uzyskania władzy i tego co władza daje;

2) przecząca twórczości bezkrytyczna, beztwórcza zachowawczość, spotykana śród warstw bardziej oświeconych, które, nie będąc w stanie pogodzić tradycji z nowemi przejawami życia, starają się życie, ewolucję, zatrzymać na martwym punkcie;

3) przeczący etyce, jako krańcowa demagogja i twórczości, jako absolutyzm, bolszewizm, mieniący się dzieckiem idei demokratycznej a przeciwstawiający się jej obecnie nietylko w środkach, ale i w celach.

3. Człowiekowładztwo, jako ideał demokratyzmu.

Mocą przedwiecznych praw muszą w ludzkości zwyciężyć te siły, które wiodą do zachowania i spotęgowania jej bytu.

Te siły tają się w szczerze demokratycznym ustroju społecznym. Demokratyzm spółczesny świata psuje się coraz bardziej, idąc po linji demagogji, otępienia twórczego, oportunizmu, anarchji.

Beztwórczość zapanowała w dziedzinie życia gospodarczego, naukowego, artystycznego, administracyjno-państwowego nad twórczością tych dziedzin.

Nad poczuciem godności w człowieku, w narodzie, w ludzkości zapanował brak etyki i poczucia godności.

Rządy spółczesnych państw, ich dyplomacje pod względem etycznym stoją niżej najniższych warstw swych poddanych.

Skoro jednak przykładem rozwoju idei demokratycznej w ubiegłych wiekach świeciła Polska, od Polski należy oczekiwać odrodzenia tej idei, rzucenia z niej wynikających nowych haseł, zwołania, w przeciwstawieniu do międzynarodówek, wszechnarodowych zjazdów (wszechnarodówki I-ej), na których uchwalone rezolucje, orędzia, manifesty w myśl odradzającego się demokratyzmu, porwą za sobą cały świat cywilizowany.

Odrodzenie to winno polegać na walce z demagogją, która tak przeżarła parlamentaryzm spółczesny, i z beztwórczością, na zrozumieniu wspólnych interesów całej ludzkości w dziedzinie jej walki z przyrodą, w dziedzinie jej cywilizacyjnych a stąd i gospodarczych zdobyczy, na zrozumieniu interesów jej czynników twórczych i indywidualnych, narodów i jednostek, i na wzmożonym rozwoju cech człowieczych, czyli na — człowiekowładztwie (homokratyzmie).



Wacław Nowina-Przybylski. Za Twoim przewodem!



Leonard Winterowski. Z fragmentów pościgu.



Jan Rembowski. Polonia.



Mogiły pod lasem.



Antoni Piotrowski. Ranny partyzant.

Jan Grabowski.

CZŁOWIEK.

Nie było gwary, języka, którym mówią ludy, mieszkający między Atlantykiem, a Kamczatką, któryby nie rozbrzmiewał na mańkowickim majdanie. Raz słyszałeś węgierski charkot, to śpiewną włoszczyznę, to znów urwane, suche, jak klekotanie drewna, twarde dźwięki mowy fryzów. Albo raptem zalew gwar rosyjskich, twardych, miękich, śpiewnych, gardłowych, bełkot tatarów i dzikich tłuszcz zauralskich. Przechodzili moskale, byli austryjacy, byli niemcy, znów moskale, znów austryjacy, znów niemcy.

Za każdą zmianą — bitwa, piwnica pod altaną, pękanie szrapneli, tu i owdzie pożar. Rekwizycje na rachunek państw wojujących, prawa wojennego, wreszcie na rachunek prawa pięści, popartego karabinem, lub ręcznym granatem. Ostatnio zakwaterowali się moskale, zakwaterowali się byli na dłużej, ba, jak to głosili, na zawsze.

Pan Jan, dziedzic Mańkowic, znosił zmiany ze stoicyzmem, z tym rodzajem równowagi duchowej, na którą zdobyć się może tylko polski szlachcic, osiedziały od niepamiętnych czasów na tym skrawku ziemi własnej, ukochanym, drogim, który mu jest tak blizki, własny i swój, tak nieodzowny do życia, jak powietrze. W głębi duszy miał on to głębokie przeświadczenie, że bez względu na to co się dzieje, na Mańkowicach nie kto inny jest panem, tylko on, pan Jan Plichta, Półkozic, osiadły tu z dziada pradziada, dziedzic.

On i jego Mańkowice stanowili jedność.

Pan Jan był panem Mańkowic, bez względu na to, kto opanował dwór, kto w nim rządził, czyjej on, dziedzic, musiał ulegać przemocy. Intruzów traktował jak dopust boży, zarazę, pożar, pomór na bydło. Wiedział, że złe minie, że przecież oni, kimkolwiek byliby owi oni, pójdą sobie skąd przyszli, a na Mańkowicach zostanie Jan Plichta. Tak być musi, taki był porządek świata, zakłócony wprawdzie, lecz w zasadzie nienaruszalny, zwycięski i trwały.

Był łatwy i miły w obejściu, czuł się panem na swoich śmieciach, kul się nie bał, potrafił z każdym się zżyć i dał się lubić. A że był towarzyski z natury i lubił ludzi, grał więc w winta z oficerami rosyjskimi i przyjmował ich kiszonemi ogórkami, bawił się wesoło w towarzystwie oficerów austryjackich, miłych chłopców, jak ich nazywał, zaprzyjaźnił się nawet z pewnym kapitanem niemieckim, bawarem, z którym długie godziny gawędził w altanie pod lipą.

Od czasu, gdy powrócili moskale, pan Jan jął się dawnych, a wypróbowanych sposobów. Tu rubelka, tam dwa, tu dziesięć, tam setkę i znów zdawało mu się, że zapanował nad stosunkami. Ale od pewnego czasu popsuło się wszystko, a raczej tak się poplątały wszelkie nici, iż pan Jan począł tracić panowanie już nie nad stosunkami, lecz nad sobą. Co dzień pokilkakrotnie wjeżdżał na majdan mańkowicki to kozak, to oficer, to maruder jeden, lub kilku, grozili rewolwerem, szablą, lub karabinem i wyjeżdżali, zabierając konia, krowę, lub wreszcie co im się podobało, jak swoje. Te najazdy rabunkowe wreszcie stały się tak częste, możliwość obrony przed grabieżą tak nikła, że panu Janowi życie naprawdę obrzydło. Stracił ochotę do wszystkiego. Nie pokazywał się na gumnie, nie zaglądał do opustoszałej stajni.

— Proszę pana dziedzica, a to rzuciły bombę z aeroplanu. Na sam środek drogi do Gniazdowa padła. Taką wyrwę zrobiła, że się dziesięciu ludzi w niej schowa, — zameldował rządca któregoś ranka dziedzicowi,—który, leżąc w łóżku, słuchał raportu z nocy, raportu, mogącego tak dobrze zwiastować upadek bomby z aeroplanu, jak pożar lasu, jak załamanie się mostu na rzece, oberwanie chmury, lub wreszcie zdarzenie, które kiedyindziej traktowanoby jako pierwszorzędną katastrofę, dziś zaś uważano za rzecz zwykłą, codzienną.

— A duża wyrwa?—spytał Piętki.—Wyrwało co pola?

— Wyrwało, panie dziedzicu, a jakże. Akuratny kawał.

— Gdzie to, powiadasz pan?

— Na drodze do Gniazdowa, zaraz za mostkiem, gdzie miedza od rzepaku.

— Rzepak, gdzie ten rzepak, co tam rósł?— westchnął pan Jan i zawołał. — A bodaj ich nagłe pioruny po piekle włóczyły! Stasiek—buty, ubranie! Niech mi tam dadzą konia, trzeba pojechać, zobaczyć!

— Migiem, panie dziedzicu!

Ubrał się szybko, wsiadł na konia, pojechał.

Zaledwie minął krzyż na górce i zjeżdżał ku mostkowi, gdy usłyszał za sobą:

— Hej, pan, stoj, ruki w wierch!

Stanął, podniósł ręce i obejrzał się. Z bocznej dróżki nadjeżdżało czterech jeźdźców z których jeden zdjął karabin i mierzył do pana Jana.

— Pewnie mi ostatnią krowę zabiorą, pomyślał i ważył w myśli ile im dać odstępnego.

Tymczasem jeźdźcy zbliżyli się i bez dalszych wstępów obrzucili go wymysłami barwnemi i jędrnemi, na które tylko język rosyjski jest w stanie się zdobyć. Pan Jan spokojnie czekał co nastąpi po tych pokojowych pertraktacjach. Jeden z kozaków wyjął z torby ręczny granat i zaczął majstrować koło opaski ochronnej. Jednocześnie trzej inni odsunęli się o parę kroków.

— Ty czawo po polam szlajeszsia?

— Jakto czego? Pojechałem oglądać wyrwę od bomby.

— Slezaj!

Wszystko się w nim zagotowało na ten rozkaz. Miał zejść z konia i iść piechotą, tu na swoich śmieciach, u siebie w Mańkowicach? Zawahał się, lecz widząc, że kozak coraz bardziej stanowczo zabiera się do odwijania granatu, zeskoczył z konia i stanął.

— Stupaj w pieriod,—zakomenderował kozak i trzymając w ręku gotowy do rzutu pocisk, postępował krok w krok za Plichtą.

W milczeniu doszli do obejścia dworskiego. Na środku podwórza zatrzymali się i jeden z kozaków, wyglądający na prowodyra ekspedycji, oświadczył, że choć uważa pana Jana za człowieka podejrzanego, to jednak darowuje mu życie, pod wąrunkiem, że natychmiast, bez zwłoki, w jego oczach podpali sam wszystkie budynki dworskie.

— Zwarjowałeś, psiakrew, wybuchnął pan Jan, ja będę palił moje Mańkowice!

— Nie chcesz palić sam, panie dziedzicu— odezwał się niezłą polszczyzną prowodyr.—Nie chcesz? Dla niemców chcesz zostawić?

— Dla nikogo nie chcę zostawić tylko dla siebie. Cóż to wy sobie myślicie, że jak niemcy przyjadą, to będą drzewo gryźć, stodołę mi zjedzą, czy z lokomobili będą strzelać? Warjat, jucha! i zaśmiał się pomimo woli.

— Wiesiołyj pan—odezwał się jeden z jeźdźców.

— Wszystko trzeba spalić, wszystko, podjął znów przywódca. Nie czas żałować tego, co nie wasze.

— Jakto nie moje? A czyje?

— Nie twoje, dziedzicu, nie twoje. Z krwi i potu ludu pracującego, z jego łez, z jego niewoli i ucisku to wszystko wyrosło, z jego krzywdy tyło. Znamy was, obywatele polscy, obszarniki.

— Kiej djabeł—pomyślał pan Jan i z takim zdziwieniem spojrzał na mówiącego, jakby zapomniał gdzie jest i co się z nim dzieje.

— Nie patrz pan tak na mnie jakbyś to pierwszy raz słyszał. Kto gnębił lud nieszczęsny? Moskal? Nie. Ruskij proletarij sam rab i niewolnik, sam pod igiem upada. To wy, burżuje, obywatele. Wy krowopijcy! Kto powrotu pańszczyzny chciał? Kto się przeciw swobodzie ludu wiejskiego buntował? Kto z nadwartości żyje? Kto? — krzyczał i najeżdżał koniem pana Jana.

— Wiedi w ambar, wskazał po chwili.

Pan Jan zaprowadził ich do śpichrza. Nie czekając na otworzenie drzwi z klucza, odbili je kolbami i zgarniali trochę zboża znalezionego do worków, które mieli ze sobą.

Mówca nie brał udziału w rabunku. Stał obok pana Jana i dogadywał.

— Resztki zboża sobie zostawił, a czy lud biedny uciemiężony ma choć okruszynę chleba o to nie dba. Byleby dla siebie. A może ty z germańcami trzymasz, co?—wrzasnął.—Prikonczym my z toboju! Nadszedł dzień zapłaty, sędziami będziem my,—zacytował, odszedł kilka kroków, zawołał na swoich: „pastaraniś" i już miał cisnąć bombę, gdy jeden z towarzyszy schwycił go za rękę.

— Ostaw, Onufrij. Daj pan nam wódki wypić!

Panu Janowi nie na żarty ścierpła skóra i zimny mróz miał w kościach. Chwycił się jak deski zbawienia owej wódki i zawołał zmienionym głosem.

— Chodźcie, psiekrwie, na wódkę!

Poszli. Rozsiedli się w jadalni. Bombę schowano do bibljoteki. Raczyli się wódką, której na szczęście znalazł się spory zapas. Pili i jedli w milczeniu.

Po dobrej chwili, gdy nasycili głód i podpili sobie nieźle, sołdat, zwany Onufrym, rozpoczął monolog, zwracając się wprost do pana Jana, którego zmusili do siedzenia przy stole.

Pan Jan słuchał i uszom własnym nie wierzył. Zdawało mu się, że jest na jakimś wiecu. Sołdat przemawiał do niego językiem, jakby żywcem zaczerpniętym z tych broszurek ulotnych, które rozdawali pomiędzy lud wiejski jego

dobrodzieje i opiekunowie za tych czasów, gdy fala, tak zwana wolnościowa, wstrząsała Polską, wybucbając tu i ówdzie strejkiem, to znów napadem raz tych, co walczyli z caratem, to znów owych flibustjerów rewolucji, którzy prowadzili walkę na własne ryzyko, ale też i na własny rachunek.

Onufremu coraz bardziej plątał się język. W argumentacji: car, dobro ludu pracującego, bunt, wyraz „rewolucja", wypowiadany z jakimś nabożnym namaszczeniem, to znów porządek, a nawet „ochrana", występowały dziwnie zmieszane ze sobą, ale wniosek z tego, co mówił wypływał jeden i niezmienny: powiesić obywatela, wroga ludu pracującego.

— Powiesić, powiesić,—powtórzył w zamyśleniu.—Można powiesić. Ale to nie to, co bomba! Bomba!—cmoknął ustami w zachwyceniu.—Ptaszek żelazny — wyleci, krzyknie i o jednego podleca mniej. Na was, co krew narodu pijecie, stryczka szkoda. Na stryczku w Rosji najlepsi ginęli. Stryczek — to największy order wolności ostatni i nikt go nie zdejmie, aż po śmierci. Znak zaszczytny. Gieorgij nasz, konopny order burewiestników, sokołów swobody. Na was bomba i palić, zniszczyć, jak zarazę. Ja ciebie znam,—zwrócił się nagle do pana Jana.

— Mnie?

— Tak, ciebie.

— Skąd?

— Ja tu w Chełmszczyźnie strejki rolne urządzał, lud wyzwalał. Wiec u ciebie urządzali, pamiętasz? Bałeś się, pan Plichta i bał się— śmiał się.—Znamy was, znamy wasze szacherki macherki! Szowiniści, dawniej żydom cerkwie ludu prawosławnego na karczmy sprzedawali, a dziś antisemity. A cóż to żyd nie człowiek? A co człowiekowi potrzeba? Swobody i słońca. Swobody i słońca—wrzasnął i uderzył pięścią w stół.—Wszystko won, żeby nic na ziemi się nie zostało, tylko swoboda i słońce. Zniszczyć, zniszczyć wszystko, żeby śladu poprostu nie zostało. I na ruinach niech nowe zakwitnie życie— zacytował.—Nie trzeba rewolucji, tylko ekspijacja, ekspijacja.

— Wola ludu, a carskij prikaz to jedno. Władza od Boga dana. Ja później w ochranie służył—dodał jakby tonem wyjaśnienia.—Zniszczyć to, co z krzywdy ludu pracującego powstało. Proletarjuszowi co zabierzesz? Najwyżej życie, a co życie—męka bez końca! Gdybyś miał tyle, co chłop twój, panie Plichta, małorolny, komornik—rublaby wzięli i poszli. A tak i gadać nie zechcemy. Zresztą i tak dość nagadali się. Ekspiacja za krzywdy ludu pracującego—wrzasnął wprost do pana Jana.—Matwiej, pora wieszat'!— i zerwał się z krzesła.

Pan Jan zrozumiał, że trzeba uciec, uciec za jakąkolwiek cenę i skorzystawszy z przekomarzania się, jakie wyniknęło pomiędzy oswobodzicielem ludu chełmskiego i Matwiejem z powodu ociągania się tego ostatniego, buchnął w drzwi i wybiegł do ogrodu.

Dopadł starej wiernej skrytki pod altaną, wypróbowanej w pamiętnym 63 roku, a tak zamaskowanej, że dla niewtajemniczonych niemożliwej do odkrycia. Przycupnął i nasłuchiwał.

Gruchnęło kilka wystrzałów, później rozległ się silniejszy huk.

— Nareszcie bombę djabli wzięli—pomyślał z ulgą pan Jan i wnet usłyszał krzyki wołania: „Pan, pan, wychodi". Raz wraz rozlegał się suchy trzask wystrzału. Wreszcie nawoływania stały się łagodniejsze, bardziej przyjazne w tonie. Pan Jan siedział w swej kryjówce jednako obojętny na groźby i zachęty.

Wreszcie po dobrej chwili wszystko się uspokoiło.

— Najwidoczniej wrócili do dworu i znów piją, — pomyślał.

— Panie dziedzicu, chcą sto rubli, obiecują, że pojadą—szepnął Piętka, tuż koło wejścia do loszku.

— Daj im pan dziesięć rubli i niech jadą do wszystkich djabłów.

Chwilę trwało milczenie. Później znów słychać było gwar, wreszcie pan Jan usłyszał tupot końskich nóg.

W otworze loszku ukazała się twarz Piętki.

— Pojechali?

— Pojechali, panie dziedzicu. Został jeden.

— Który?

— Ten, co chciał rzucić bombę.

— Czego chce?

— Powiedział, że nie odjedzie, aż mu pan dziedzic poda rękę.

— Jak?!—krzyknął pan Jan i omal nie rzucił się na Piętkę.

— Kazał powiedzieć, że pojedzie, ale pan dziedzic musi mu podać rękę.

— Jeden głupi gada, drugi głupi powtarza. Żeby mnie miało nie wiem co spotkać, ręki nie podam. Niedoczekanie jego. Tak mu powiedz.

Wszystko się w nim gotowało. Roztropność nakazywała nie opuszczać kryjówki, a szczególniej nie wdawać się w pertraktacje z pijanym sołdatem. Siedział więc, a raczej miotał się w ciasnym loszku i nasłuchiwał żałosnego nawoływania moskala, ktory chodząc po ogrodzie, płaczliwym głosem wywodził:

— Pan, nie kryj się, wyjdź. Podaj mi rękę. Człowieka we mnie uszanuj, ręki mi nie odmawiaj. Nic złego ci nie zrobię. Serce boli, ludzkie serce, że ty człowieka we mnie uszanować nie chcesz.

Wołanie stawało się coraz cichsze, coraz żałośniejsze, aż nareszcie ucichło całkiem.

— Kozuń się spił i leży pod drzewem, zameldował Piętka dziedzicowi.

Pan Jan wyszedł z loszku, przeszedł obok leżącego bez zmysłów sołdata i wszedł do dworu. Zaledwie znalazł się w jadalni i wyjrzał na podwórze, dojrzał trzech żołnierzy, wjeżdżających we wrota. Skamieniał i jak przykuty do miejsca patrzył na nich.

Kozacy podjechali rysią do ganku. Jeden z nich zeskoczył z konia i wszedł do jadalni. Pan Jan zrobił ruch, jakby chciał uciekać.

— Nie bojsia, pan. My ludzie uczciwi, jak raz wzięli, słowo dali, dotrzymamy. Ty pan suche drzewo na gumnie zbierz i podpal. Żeby zdaleka widać było, że gore, to inni palić nie przyjadą. U nas jest prikaz palić—służba, nie drużba. Onufrja też zabrać trzeba. U niego już taki zwyczaj — kiedy trzeźwy — panów wiesza, a napije się, dobrieńkij. Wiadomo, dusza u niego nadpsuta. Choć na carskiej służbie był, ochrannikiem, socjalizmy duszę mu zepsuły i boli ona u niego. A ty pan rubla nie narzuciłby?

Pan Jan rzucił mu papierek. Po chwili kozacy ciągnęli nieprzytomnego Onufrja, wsadzili go na konia, wzięli między siebie i ruszyli.

— Dobrego zdrowia, pan—krzyknął jeden na pożegnanie.

— My żertwoju pali w borbie rokowoj, — darł się pijany.

Pan Jan patrzył z ganku za nimi, aż na zakręcie zniknęli mu z oczu. Później obrzucił wzrokiem całe Mańkowice, całe witał; jakby je ponownie brał w siebie. Podniósł ręce do góry i westchnął.

— To są pobratymcy, psiakrew! To jest człowiek!

Stanisław Pieńkowski.

Z HYMNÓW RIGWEDY.

W dalszym ciągu podanych w poprzednich zeszytach „Placówki" hymnów Rigwedy („Do ziemi", „Do Aranjani", „Do Nocy" i „Do Indry") podaję obecnie jeden z najpiękniejszych hymnów religijno filozoficznych— „Do nieznanego Boga". Co do miary wierszowej objaśniam, że w oryginale, w przekładzie naukowym p, St. Michalskiego i w moim zarówno użyto wiersza jedestazgłoskowego. Tylko ostatnią zwrotkę uczyniłem trzynastozgłoskową, a to ze względu na wybitnie groźny jej charakter, jako finału. Jak to już objaśniałem przy hymnie „Do Indry" upoważnia mnie do tego fakt, że w hymnach Rigwedy często się spotyka niejednolitą miarę wierszową.

Z powodu znaczniejszego odstępstwa treści w zwrotce drugiej nadmieniam: w przekładzie naukowym (ścisłym) trzeci wiersz tej zwrotki brzmi —„Odblaskiem jego—śmierć i nieśmiertelność". w moim zaś — „Śmierć, nieśmiertelność—to jego wezgłowie". Odstępstwo usprawiedliwiam tem, że w hymnie chodzi tylko o symbol wielkości, a nie o dosłowność porównania. Gdy mnie filolog potępi, niech mnie obroni tyranja poezji wierszowanej.

Zwracam uwagę czytelnika na majestatyczny ton i religijną, spokojną podniosłość, ktoremi hymn ten różni się od poprzednio podanych lirycznych i bohatersko-patetycznego „Do Indry". Godne jest przytem podkreślenia, że Rigweda w hymnie tym i w innych pokrewnych wznosi się już do pojęcia jedynego Boga, co przeczy rozpowszechnionemu mniemaniu, że monoteizm jest wyłącznym wytworem religji mojżeszowej. Przyczem nieznany Bóg arjów — to postać tysiąckroć od Jehowy wspanialsza i dostojniejsza.

Do nieznanego Boga.

1. *Złocisty kiełek wstał w brzasku istnienia*
I był jedynym władcą z urodzenia.
On rozlał morza i utwierdził światy:—
Któremu-ż bogu złożymy objaty?

2. *On daje oddech, moc. Co on zapowie,*
Świat spełnia, wszyscy słuchają bogowie,
Śmierć, nieśmiertelność — to jego wezgłowie:—
Któremu-ż bogu złożymy objaty?

3. *Własną swe włości potęgą rozszerza,*
I oddech ziemi i jej sen odmierza
On—król człowieka i ptaka i zwierza:—
Któremu-ż bogu złożymy objaty?

4. *Jego ogromem wstały gór korony,*
On morza, pono, spiął w lądów opony,
Ramiona jego — cztery świata strony:—
Któremu-ż bogu złożymy objaty?

5. *On nieba wielkie i ziemię utrwalił,*
Na widnokręgu on słońce zapalił,
W bezdrożach bytu on wymierza światy:—
Któremu-ż bogu złożymy objaty?

6. *Ku niemu patrzą wojsk wrażych czerniawy*
I sercem modlą się pełnem obawy,
On zorzy wschodniej blask roznieca krwawy:—
Któremu-ż bogu złożymy objaty?

7. *Gdy ongi wielkie prawdy z rozgwarem*
Spłynęły ognia obarczone darem,
On oddech bogom dał tchu swego żarem:—
Któremu-ż bogu złożymy objaty?

8. *Źrenice jego ponad wód rozłogi,*
Z których jest siła i żertwa bez trwogi,
On—Bóg jedyny ponad wszystkie bogi:—
Któremu-ż bogu złożymy objaty?

9. *Niech nam nie szkodzi On—światów rodziciel,*
Wielki w swej prawdzie, On—nieba stwórzyciel,
Który dał ziemi mórz przezrocze szaty:—
Któremu-ż bogu złożymy objaty?

10. *O, Gradżapati! Nikt!—nikt inny ponad tobą*
Tego ogromu bytów nie ogarniu sobą.
Wśród żertw błagamy: niechaj nam szczęście włodarzy,
Niech nas bogactwem szczodra twa ręka obdarzy!

przełożył
St. Pieńkowski.

Przegląd literacki.

Radosław Krajewski. Poezje słoneczne. Warszawa, 1921. „Wydawnictwo poetów".

Zastrzegam się, że nie piszę „krytyki", lecz w tych kilku słowach obrazuję wrażenie jakiemu uległem przy wczytywaniu się w „Poezje słoneczne". Kiedy bowiem krytyka ulega stałym kanonom, opisane wrażenie świadczy albo o istotnej sile przedmiotu, albo o zdolności do odbierania wrażeń. Opis ten nie będzie zatem ani kogoś usposabiać, ani go zwalniać z osobistego zaznajomienia się z „Poezjami słonecznemi". Można byłoby o nich wiele powiedzieć — wystarczy jednak powiedzieć niewiele, bo o „rzeczach dobrych", albo każdy ma sąd własny, albo — może go nie mieć wcale.

Autor drogą tą szuka siebie i swego narodu. Coś mu się widzi, śni w chaosie rozprężonych czynów wszechświata. Bo już dlań polem obserwacji nie jest tylko naród polski, i to podłoże widoczne, z którego wyrasta — ziemia Polska—ale stosunek jego do wszechbytu.

„Poezje słoneczne" sięgając w zamierzchłą przeszłość Polski i przedzierając się przez życie nasze współczesne — są wyrazem tej epoki w której żyjemy. I dobrze, że się ukazały. W historji literatury polskiej pozostaną one jako dokument świadczący o tem jak poczęła szukać dróg do rozrastania się zmartwychwstała z pod romantycznej płyty dusza narodu; współczesnym, którzy zapleśnieli jednostronnie w leniwej tradycji, lub dali się uprowadzić na bagna trucizny nam zaszczepianej—da bodźca, lub ukaże ratunek.

Wszystko jedno, czytelniku, ile tych tematów poetyckich przeczytasz — nazywam je zaledwie tematami, bo na tej kanwie przecież autor nie wypowiedział jeszcze wszystkiego — każdy z nich da ci obraz nowego życia, bo w każdym istnieje już ten pion strzelający w niebotyczną wyżynę, kędy się gubi, pion, wkoło którego zaczyna się oplątywać i wikłać w próbną sieć życia dusza narodu. Chwilami ma się wrażenie, że autor do pracy tej rzuca się żywiołowo, że buduje coraz szybciej, dorzuca coraz gwałtowniej materjał i pnie się, prawie nie oglądając się na przebytą drogę. Gmach koncepcji poetyckiej wyrasta niespodziewanie, porywa wzrok i myśl, oddziela się od ziemi... I naraz... Gdzieś zerwała się jakaś chmura i niby rozwala ten dom budowany zda się z pajęczyn; czy też gdzieś obsunął się w pośpiechu ciśnięty zwał granitu... Chwieje się gmach, bo zdaje się, że poeta już go nie z ziemi wyprowadza, lecz gdzieś w przestworzu rozpina z nimbów miraże. Cóż to się stało? Czy zabrakło myśli, czy słów, czy też budulca nie można już podnieść na tę wysokość? Nie. Może tylko w tych wyżynach poeta zobaczył coś, czego tam nie spodziewał się ujrzeć, a przed czem wzrok jego w rozterce pierzchnął i schował się w ił urodzajnej gleby, z której za chwilę znów wzwyż budować będzie. I to jest polskie w „całej" poezji p. Krajewskiego, że wyrasta ona wiecznie ze swoistego podłoża, choć gubi się we wszechbycie, aby po chwili znów po ten rdzeń zawrócić i nim się pokrzepić. Poezja jego ani na chwilę nie przestaje być poezją narodewą.

A do myśli, do treści dopasowała się i metoda budowania. Poezja słów jest niby grą tej bujnej natury słowiańskiej, którą stworzyli bogowie i która w bogach tych żyć jeno umie. Rytm i rym płyną nie według przepisów, lecz wraz z falą twórczego uczucia. Same się szukają i same jakoś przypadkowo odnajdują się w harmonji tworzenia. Tyle „dobrego". Wskazanie „złego" nie pomoże autorowi, a mogłoby zaszkodzić czytelnikom.

M. Jarosławski.

Do Prenumeratorów „PLACÓWKI".

Przy zbliżającym się IV-ym kwartale przypominamy iż KAŻDY PRENUMERATOR który już opłacił pierwsze trzy kwartały i teraz wniesie należność za kwartał IV-ty

MOŻE OTRZYMAC JAKO BEZPŁATNE PREMJUM

za rok bieżący 1920

Wspaniałe Album Mundurów

I-go polskiego korpusu

zawierające w ozdobnej teczce ze złoconemi literami — 39 plansz ze 120 kolorowemi reprodukcjami.

Album przedstawia obecnie wartość około 200 marek.

Nowi prenumeratorowie, lub ci którzy przerwali w ciągu roku prenumeratę mają prawo do Albumu, o ile uzupełnią nie wniesioną opłatę za poprzednie kwartały.

(Nieotrzymane przez nich numery „Placówki" również będą dostarczone).

Album można otrzymać wprost z Administracji, Nowy-Świat № 40, bez żadnej dopłaty, lub w razie żądania wysyłki pocztą — za zwrotem kosztów wysyłki i opakowania w sumie Mk. 10.

ALBUM, JAKO HISTORYCZNA PAMIĄTKA,

będzie stanowić cenny dar dla każdego kto interesuje się kolejami tworzenia i powstawania, dziś jednolitej już Armji Polskiej.



Polska idzie.

Mojemu przyjacielowi, który po długim pobycie zagranicą powrócił teraz do kraju, rzekłem z zapałem, wskazując na cud: „Patrz, Polska idzie!”

Przyjaciel mój przyjrzał się, zastanowił i widać było że ważył coś w myśli, porównywał i przypominał sobie.

Spojrzał potem na mnie, jakby z politowaniem, twarz jego się zasępiła a chmura troski pokryła mu czoło.

— „Nie tak idą narody zachodu” — rzekł, westchnąwszy głęboko — „tam życie kipi, krok ich jest pewny, mocny a droga prowadzi prosto do celu. Spójrz, jak Ojczyzna nasza wygląda... biedna, wynędzniała, a wkoło ta zgraja, która ciska jej ostre kamienie pod nogi, przywiezione jako transport państwowy, opatrzony marką C. K. i N. K. N., prosto z Galicji.

A ci, którzy skradają się z rzezackiemi nożami, by żyły u jej nóg popodcinać... Pejsata hałastra, tolerowana u nas w kraju. Wyróżniają się ich sztandary z napisami: Siedlce, Białystok, Włodawa i inne. Karząca dłoń Sprawiedliwości zawisła nad nimi, lecz nagle zadrżała, gdy echo do jej uszu przyniosło nazwiska Morgenthau, Samuelson et comp.

Jak wy się wszystkiego boicie, jak oglądacie się wkoło, jakże krętą jest droga, którąście Ojczyźnie przygotowali!

A tam, owi, którzy uchwycili się różnych urzędów i stanowisk, i tym sposobem mają bliższy dostęp do ojczystego ołtarza... Pomyjami pragną ogień święty zagasić. Zawiść pożera ich wnętrza, gdy pracę twórczą dostrzedz im się zdarzy. I wnet sami zrywają się do „pracy”, otwierając na przestrzał okna budowy państwowej, by wszelki poryw twórczy i wysiłek uczciwy, cugiem prywaty i sobkostwa i wyziewem bagna partyjności, w zarodku sparaliżować.

Nie, nasza Polska nie idzie, bo ją trzymają w miejscu, a rozwydrzona banda wkoło niej, wyjąc, bezwstydnie tańcuje.

Ale, patrz, ktoś się wydzielił z otoczenia. Dąży z flaszką wódki, którą w deputacie otrzymał. To robotnik. Pijany jest. Straszy, że przestanie pić skarbową wódkę, jeżeli mu płacy nie podwyższą. Co robić? Mogą być nareszcie wśród nich trzeźwo myślący ludzie... Niema rady — płacę podwyższyli mu podług stopnia mocy spirytusu o 90%.

A tam chłop sunie i ręce ma spracowane... niedawno w pocie czoła stawiał bramy tryumfalne bolszewikom. Ten się już rozumu nabrał. Pamięta nahajkę kozacką, stoją mu w oczach potwory, rabujące jego mienie... widzi pohańbione kobiety i pomordowane dzieci... syna jedynego ma w wojsku. Wyparł się go niedawno i wydziedziczył, że się na ochotnika zaciągnął, dziś sam na ochotnika do wojska wstępuje!...”

I tu zastanowił się mój przyjaciel, twarz mu się jakby trochę rozpogodziła i rzekł:

— „Może jeszcze dobrze będzie... Są siły niewyzyskane, drzemiące w narodzie, tylko że—niestety—batem je trzeba budzić do czynu.

Ileż jeszcze niewolnictwa pozostało w nas—wolnym i niepodległym Piastowym szczepie!”

Gdym się pożegnał z przyjacielem, spotkałem pochód patrjotyczny i doleciała do uszu mych melodja Roty Konopnickiej i słowa:

„Polski my naród, polski lud,
Królewski szczep Piastowy”...

Iskra nadziei silniej zapaliła się w mojej duszy i z głębi serca rzuciłem gromkie, mocne:

„Tak nam dopomóż Bóg!“

A mój przyjaciel, który szedł za mną, że dużo widział w swych wędrówkach co się robi za granicą, dodał z westchnieniem:

„Oby”...

W. Z.

Nasi sąsiedzi.

Połową bezpieczeństwa Państwa są dobrzy sąsiedzi. O swoich sąsiadach Polska tego nie może powiedzieć. Ergo, nie możemy się czuć nawet do połowy bezpiecznie w granicach swoich posiadłości państwowych.

I czem się to dzieje?

Jaknajprzyjaźniej jesteśmy przecież usposobieni wobec haseł ogłoszonych przez Wilsona — wolności narodów — nie uprawiamy ogresyjnej polityki, uznaliśmy i przyjęliśmy nawet w sejmie prawo o mniejszościach narodowych, ponadto w naszych poczynaniach sąsiedzkich jesteśmy — nie dosyć powiedzieć uprzejmi — ale wprost postępujemy jako altruiści. Zapominamy Litwinom kumania się z Niemcami i Anglją na naszą niekorzyść, przechodzimy do porządku dziennego nad prowokacyjnemi występami Taryby, wyzwalamy i organizujemy państwowo Łotwę, po strasznych podstępnych rzeziach hajdamackich podajemy rękę Petlurze i prowadzimy go na „tron" kijowski, ba, zgadzamy się dobrowolnie na podział Śląska Cieszyńskiego, Spiża i Orawy, uznając prawo Czechów do większej części tych ziem istotnie polskich, pozwalamy Prusakom położyć nas na Mazowszu na obiedwie łopatki przy t. zw. plebiscycie, godzimy się na wszystkie wybryki Niemców w Gdańsku — jednem słowem, zdawałoby się, że dla świętego spokoju gotowiśmy na wszelkie ustępstwa. A jednak ta gotowość nasza nie zmniejsza naszej liczby wrogów. Przeciwnie, pierścień ich coraz wyraźniej zaznacza się wokoło Rzeczypospolitej Polskiej—wszyscy mają jakieś pretensje— czy to wypowiadają je wyraźnie, czy też pod osłoną „neutralności" usiłują nam szkodzić w chwilach krytycznych, a nawet, jak to było przed miesiącem, zrzucając maskę, wyraźnie cieszą się z możliwości upadku Polski.

Jednem słowem, my postępujemy jako naród uczciwy, z nami zaś postępują jako z narodem conajmniej niepotrzebnym.

Z tego wypływa, że albo niepotrzebni jesteśmy naszemu otoczeniu jako państwo, albo też... nie na miejsu jest nasza uczciwość sąsiedzka. Ponieważ zaś ani teoretycznie ani fizycznie nie można udowodnić pierwszej tezy—że jakiś naród jest niepotrzebny, więc pozostaje do zbadania druga—ta o możliwości i potrzebie uczciwości sąsiedzkiej.

Jako państwo ze złej wyszliśmy szkoły. I to przedewszystkiem musimy sobie uświadomić.

Nowe pojęcie uczciwości narodowej czerpiemy z pojęć romantyzmu, w jakich zmuszeni byliśmy z pokolenia w pokolenie wzrastać od wieku. Tymczasem romantyzm w stosunkach państwowych stał się anachronizmem, wypędzono go nawet już z literatury pięknej. Nic też dziwnego, że jako niepoprawni romantycy spóźnieni w rozwoju politycznym długo jeszcze będziemy narażani na nieprzyjemności ze strony naszych sąsiadów, którzy oddawna już potrafili oprzeć swoją politykę państwową na innej bardziej zdrowej zasadzie: egoizmie narodowym. Nie było to tajemnicą, że Polak za granicą wstydził się swego polskiego pochodzenia, choć u siebie w kraju za tę właśnie polskość narażał się na Sybir lub X pawilon Cytadeli. Nie jest i dziś tajemnicą, że nasza polityka zagraniczna opiera się na niezdrowej giętkości karku polskiego wobec autorytetów zachodu.

Pozwalaliśmy na to, żeby w ciągu wieku twierdzono, że nie istniejemy, dziś godzimy się na traktowanie nas jako niemowlęcia, które jeszcze nie umie nic powiedzieć i godzi się na opiekę niańki.

Mamy w sobie pychę polską, ale wyzbyliśmy się godności narodowej. Pozwalamy na rozporządzanie sobą, choć umiemy z kraju wyrzucić nawałę bolszewicką i uratować przed nią Europę Zachodnią.

Ta ustawiczna dysproporcja pomiędzy naszą istotną siłą fizyczną i moralną a przyswojonem w niewoli bałwochwalstwem jest właśnie przyczyną, pozwalającą naszym sąsiadom lekceważyć nas jako państwo umiejące skutecznie bronić praw swoich.

Ten romantyzm prowadzący nas do zwycięskiej walki z potęgą o wiele nas przewyższającą i dziecinny lęk przed podjęciem walki z byle straszakiem na nas wystawionym — przypomina dawnego naszego rycerza, który umiał ginąć dla Polski, nie umiał jednak dla niej żyć, przypomina szlachcica polskiego, który potrafił stanąć na czele swoim kosztem uzbrojonej chorągwi pancernej i rozpędzić czambuł tatarski, nie potrafił jednak obronić się przed jednym pachciarzem, który go zastraszył fałszywym rewersem.

Czas pozbyć się lęku przed pachciarzami, którzy fałszowanemi na nas wekslami tak operują na zachodzie i wschodzie, aby nas z ziem naszych wypędzić i zająć opuszczone przez niepoprawnych romantyków siedziby.

M. J.



Z najazdu bolszewickiego w Polsce. *Rys. B. de Rossel.*

Kalendarzyk wojenny.

1 września. Na północy posuwamy się naprzód. Obsadziliśmy Gródek i Hajnówkę. Akcja nieprzyjaciela na wschód od Chełma została udaremniona. Załoga Zamościa broni się dzielnie. Nasza grupa pościgowa działa na tyłach armji Budiennego. W Małopolsce obsadziliśmy Chodorów.

2 września. Na północy sytuacja bez zmiany. Armja Budiennego poważnie została nadwyrężona przez nasze wojska. Koncentrujące się w rejonie Piszczy, Smolar i Jogodyna wojska sowieckie rozpoczęły szybki odwrót. Decydującą rolę w bitwie odegrała grupa pościgowa gen. St. Hallera, który uderzył z tyłu na podsuwającą się pod Zamość armję Budiennego. Oddziały nasze wzięły znaczną zdobycz. Na wschód od Lwowa odrzuciliśmy nieprzyjaciela za linję Bugu.

3 września. Zajęliśmy Suwałki. Na linji Sokółka, Brześć Litewski i dalej wzdłuż Bugu spokój. Armja Budiennego w odwrocie. Na południu nieprzyjaciel atakuje Busk. Wzdłuż Gniłej Lipy i Dniestru walki lokalne.

4 września. Na froncie od Suwałk do Włodawy sytuacja bez zmiany. Pomocnicze oddziały grupy Budiennego przeszły do działań zaczepnych w rejonie Hrubieszowa. Na południu grupa majora Łukowskiego wyparła nieprzyjaciela z Bełza. Na wschód od Lwowa utarczki.

5 września. Oddziały naszej jazdy w rejonie Sejny—Suwałki—Augustów zostały zaatakowane przez wojska litewskie, które działając w porozumieniu z bolszewikami, przekroczyły bez wypowiedzenia wojny linję Curzona. Wzdłuż Bugu ataki nieprzyjaciela odparto, Na południu w rejonie Bełza oddziały nasze posuwają się naprzód. Na wschód od Lwowa obsadziliśmy węzłową st. Krasne. Wzdłuż Dniestru walki lokalne.

6 września. Wojska bolszewicko-litewskie posuwają się na Suwałki i Augustów. Dokonaliśmy z powodzeniem wypadu na Kamieniec Litewski. Wzdłuż Bugu pomyślne dla nas walki odporno-zaczepne. W Małopolsce sytuacja bez zmiany.

7 września. Na północy skuteczne walki z oddziałami litewskimi. W rejonie Hrubieszowa i Tyszowiec — odnieśliśmy częściowe powodzenie. W Małopolsce nieprzyjaciel usiłuje zepchnąć nas z linji Bug — Gniła Lipa. Wywiązały się ostre walki pod Paraczoczem, Buskiem, Krasnem, Śniatynem i Knichniczami.

8 września. Oddziały nasze powstrzymały posuwanie się wojsk litewskich w głąb kraju, biorąc wielką zdobycz wojenną. Armja Budiennego z pod Hrubieszowa wycofuje się na Uścilug i Włodzimierz Wołyński. Pomiędzy Kamionką Strumiłową a Buskiem sforsowaliśmy Bug i zajęliśmy leżącą na wschodnim brzegu Jabłonówkę. Pomiędzy Chodorowem i Rohatynem trwają zacięte walki, oddziały nasze zmuszone były wycofać się na linję rzeczki Świrz.

9 września. Na froncie przeciwlitewskim częściowe sukcesy. Stwierdzono współdziałanie Litwinów z bolszewikami. Na południe od Grodna zajęliśmy Krynki. Na linji Bugu utarczki. W rejonie Chodorowa zarządzona kontrakcja doprowadziła do zajęcia przez nas Knichnicz, przekroczenia rzeki Świrz i posunięcia się w kierunku Gniłej Lipy.

10 września. Na Suwalszczyźnie sytuacja bez zmiany. Na środkowym odcinku frontu zajęliśmy Kowale, Kuźnicę, st. kol. Żabinkę. Wielkorytę i Małorytę. Zdobycz nasza wynosi 3300 jeńców, 53 karabiny maszynowe, 4 działa, 1 wagon z amunicją, wiele taborów i 2 pociągi pancerne. W Małopolsce sytuacja bez zmiany.

11 września. Na Suwalszczyźnie oddziały nasze odzyskały Krasnopol i Sejny. Wzdłuż Bugu obustronna akcja wywiadowcza. Na południu między Kamionką Strumiłową a Buskiem nieprzyjaciel sforsował Bug i zaatakował Busk od zachodu — zmuszony jednak został do odwrotu. Opanowaliśmy znów Rohatyn, osiągając opuszczoną linję Gniłej Lipy.

12 września. Na południowym odcinku frontu zajęliśmy Bukaczewce, Borsztyn i Nastaszyn. Około Brześcia walki lokalne. Bolszewickie oddziały bezustannie atakują Żabinkę. Zajęliśmy tu linje rzeki Osipówki.

„Czarne kawy" w Zachęcie.

Dyrekcja T-wa Zachęty Sztuk Pięknych, rozpoczęła serję podwieczorków p. n. „Czarna kawa w Zachęcie" mających na celu ujawnianie i urzeczywistnianie projektów artystycznych i artystyczno-społecznych. Pierwsza „Czarna kawa" zaznaczyła się dyskusją nad sposobem najgodniejszego

OD ADMINISTRACJI.

Wobec znacznego powiększenia kosztów przesyłki pocztowej, zmuszeni jesteśmy doliczać, poczynając od kwartału IV-go, do ceny prenumeraty na prowincji Mk. 15 i za granicą oraz w Ameryce Mk. 25 kwartalnie.

Przy odnawianiu prenumeraty powyższych kategorji, zechcą Sz. Prenumeratorowie stąd wynikłą nadwyżkę do należnej sumy dołączać.

uczczenia bohaterów ostatnich walk, a przedewszystkiem wiekopomnego czynu ś. p. Księdza Ignacego Skorupki. Znany przemysłowiec, p. Zygmunt Polakiewicz, wniósł projekt, aby chwilę ataku kolumny młodocianych ochotników pod wodzą nieustraszonego kapłana, upamiętnić przez ufundowanie odpowiedniego obrazu, który należy ofiarować miastu ku wiecznej pamiątce. W toku dyskusji postanowiono utworzyć Komisję organizacyjną (z prawem kooptacji) w celu szybkiego opracowania planu działania oraz wyboru Komitetu Wykonawczego. Do Komisji tej wybrano przez aklamację niestrudzonych działaczy społecznych: Ign. Balińskiego, prezesa Rady m. st. Warszawy, Michała Księcia Woronieckiego, prezesa T. Z. S. P. Nadto jako reprezentanta artystów plastyków, p. Wład. Skoczylasa, a jako inicjatora p. Zygm. Polakiewicza.

Osoby interesujące się tą piękną myślą, raczą zwracać się po bliższe szczegóły do Dyrekcji „Zachęty“ (Plac Małachowskiego 3).

I inne miasta powinnyby pójść za przykładem Warszawy.

Odezwa Pol. Arch. Wojennego.

Otrzymujemy od Zarządu Pol. Archiwum Wojennego następującą odezwę:

Doniosłe obecne wypadki pierwszorzędnego znaczenia historycznego skłaniają Zarząd Polskiego Archiwum i Muzeum Wojennego do zwrócenia się z gorącym apelem do społeczeństwa, aby poparło go w gromadzeniu dla przyszłego dziejopisarstwa materjałów do dziejów wojny z bolszewikami.

Pożądane są w pierwszym rzędzie wszelkie druki (zwłaszcza odezwy bolszewickie), fotografje i inne pamiątki wojenne. Zarząd zachęca naszych żołnierzy do spisywania pamiętników i przesyłania ich pod adresem jednego z Komitetów Polskiego Archiwum i Muzeum Wojennego: Warszawa, Długa 13; Kraków, Sławkowska 17 (Akad. Umiej.); Lwów, Długosza 5.

Bibljografja.

Książki nadesłane do Redakcji.

Teodora Mączkowska. Szkoły mieszane. Koedukacja. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie 1920 r.

Adam Szelągowski. Dzieje powszechne w zarysie Część III—dzieje nowożytne. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie 1920 r.

Władysław Jabłoński. Materjały budowlane. Podręcznik dla słuchaczy szkół technicznych, majstrów, przedsiębiorców i techników budowlanych. Wydawnictwo Michała Arcta w Warszawie 1920 r.

Kazimierz Konarski. Wizerunek prawego polaka. Warszawa, Polska Macierz Szkolna: Krakowskie Przedmieście 7.

Memorjał Związku polskich instytucji ubezpieczeniowych w Warszawie — w przedmiocie projektów przymusu i monopolu ubezpieczeniowego w Polsce—przymus i monopol ubezpieczenia. Kraków. Nakład Zw. polskich instytytucji ubezpieczeniowych 1920 r.

Treść zeszytu XVI-go.

Warunki prenumeraty:

W stolicy i w kraju: Kwartalnie **Mk. 110.—** Za granicą i w Ameryce: Kwartalnie **Mk. 150.—**
Za przesyłkę pocztową dolicza się kwartalnie: w kraju **Mk. 15.—**, za granicą i w Ameryce **Mk. 25.—**.



Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowy-Świat Nr. 40.

TELEFON 319-87 lub 9-87 (wojenny).

Redaktor Naczelny wydawnictw P. S. W. „Placówka“: **Walenty Zieliński.**

Komitet redakcyjny: Ignacy Grabowski, Tadeusz Karaziński, Gustaw Olechowski, Stanisław Pieńkowski.

Drukarnia Rotacyjna „Kurjera Porannego", Marszałkowska 148.